



Kraina mięsa (1995)¹

Lata dziewięćdziesiąte XIX wieku były w Anglii świadkiem narodzin swoistego dziwactwa, którego kredo stanowiły orzeźwiająca zimne prysznic, sandały noszone bez względu na pogodę, wolna miłość, jazda na rowerze oraz unikanie alkoholu i mięsa. Dziwactwo to kojarzone było z Edwardem Carpenterem i George'em Bernardem Shawem, z grupą co bardziej pokojowo nastawionych anarchistów, z niektórymi teozofistami czy wreszcie ze wczesnymi Fabianami. W wymiarze politycznym ruch ten (zakładając, że miał wystarczająco wspólny cel lub kierunek, by móc zwać się ruchem) łączył w sobie ideały socjalizmu wspólnotowego ze skrajnym indywidualizmem i głębokim brakiem zaufania wobec państwa. Inspiracji dostarczały postaci Henry'ego Davida Thoreau, Lwa Tołstoja oraz, przede wszystkim, Jezusa, syna cieśli Józefa. Przyjechawszy do Londynu z zamiarem studiowania prawa, młody Mohandas Gandhi wpadł w towarzystwo członków ruchu i wyprowadził w świat niektóre z ich idei, sprawiając, że ich wpływ historyczny nie był całkiem znikomy. Nie zmienia to jednak faktu, że w całej swej szlachetnej naiwności oraz wierze, że problemy świata są nieliczne, nieskomplikowane i łatwo rozwiązywalne, członkowie tego ruchu wydają się dzisiaj zabawną gromadą. Wynalezienie silnika spalinowego, a potem wydarzenia roku 1914 sprowadziły ich do rangi przypisu w historii.

Życie w zgodzie z ideami promowanymi przez Ghandiego i Shawa w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych jest zarówno ekscentryczne, jak i niemodne, i nie budzi przy tym żadnego zainteresowania. Jest ekscentryczne, bo jest się niczym płotka płynąca pod prąd największej ekonomii świata, ekonomii, która oparta jest na zasadzie posiadania własnego samochodu i która nakłania ludzi do tego, by każdego roku konsumowali więcej niż w roku poprzednim. Niemodne, bo mowa tu o stylu życia, który nie ma przyszłości (pod tym względem nie kwalifikuje się nawet jako „alternatywa”). Nie wzbudza także żadnego zainteresowania, bo Stany Zjednoczone nie stawiają wobec takiego stylu życia oporu ideologicznego większego niż wobec innych stylów, przyjmując go z tym samym przelotnym migotaniem płomienia umiarkowanej ciekawości – już po chwili gasnącego – który towarzyszy każdej niedającej się sprzedać idei.

1. Esej *Meat Country* ukazał się po raz pierwszy w czasopiśmie „Granta” (52, Winter 1995).

Są jednak ludzie na tyle głęboko przywiązani – a może po prostu przyzwyczajeni – do modelu życia, który przyjęli jako własny, aby trwać w nim bez względu na to jak bardzo nie sprzyja im otoczenie. Podczas wizyt w Stanach Zjednoczonych, które czasami przeciągają się do kilku miesięcy, próbuję uparcie przestrzegać reżimu, który – chociaż nie promuje socjalizmu, sandałów, zimnych pryszniców ani nawet wolnej miłości – zakłada jednak niechęć do samochodów, głębokie przywiązanie do rowerów oraz dietę bezmięsną. Trzymam się tych preferencji na tyle dyskretnie, na ile jestem w stanie, świadomy ich komicznego potencjału. Dla mnie są one całkowicie rozsądne, nie zamierzam jednak nikogo nawracać.

Nieprowadzenie samochodu w Stanach Zjednoczonych uchodzi za ekscentryczne, a w Teksasie to już ekscentryczność podwójna. Ekscentryczne jest niejedzenie mięsa w Stanach Zjednoczonych, co w Teksasie również uchodzi za podwójną ekscentryczność. Piszę te słowa będąc w Austin, stolicy stanu, gdzie uczę w uniwersyteckim Centrum dla Pisarzy. Piszę nie po to, aby wyśmiewać Teksas – potężny stan, niemalże kraj sam w sobie, mający pełną wigoru i zróżnicowaną kulturę, z której nie mam powodu drwić – i tym bardziej nie po to, aby przypisywać sobie wyższe standardy moralne od tych, które mają tutejsi mieszkańcy. Ale jeśli mamy kiedykolwiek podjąć temat zwyczajów dietetycznych na poważnie – a nie w kategoriach nonszalanckiej antropologii kulturowej turystyki – to powinno się to zrobić właśnie z takiego miejsca jak to. Austin to nie Canton lub Lyon, centra dwóch światowych mięsnych kuchni, ani nie Chicago, historyczny ośrodek handlu mięsem. Ale to właśnie w samym sercu tej krainy bydła, gdzie zagrody są tuż na wyciągnięcie ręki, będę przez jakiś czas przebywał.

Lato w środkowym Teksasie. Dni zaczynają się od ciepłych i parnych poranków. Chmury gromadzą się i sadowią nad ziemią jak pokrywka na garnku. Do dziesiątej ciężar słońca spoczywa już na rękach i nogach. To ten rodzaj słońca, który barwi białą skórę odcieniami drewnianego brązu, od jasnego dębu po ciemny orzech, odcieniami nie nieatrakcyjnymi, ale pozbawionymi tonu świetlistego miodu, który spotyka się w umiarkowanym słońcu.

Nie jest to również słońce afrykańskich wyżyn, które smaga ciała tak, że stają się suche jak pieprz. Tutaj człowiek porusza się w otoczce wilgotnego ciepła, a pot wypływa strumieniami z porów ciała. Zaskakujące jest jednak to, że wyobraźnia somatyczna, przed-słowna, reaktywna wyobraźnia pożądlivego, spragnionego ciała zwraca się nie w stronę tego, co zimne i wilgotne – sałaty, jagód, arbuza – ale ku temu, co gorące i suche.

Popełniam błąd, włączając się na rowerze po wiejskiej drodze w pobliżu Bastrop, trzydzieści mil na wschód od Austin, kiedy późnoporanne słońce zaczyna już prażyć. Powrót do domu zajmie mi ponad dwie godziny. Mam ze sobą wodę, ale w tej chwili ma już temperaturę ciała, jest tak ciepła, że jej wypicie grozi

zakrzuszeniem. Moje fantazje nie dotyczą wody, ale jedzenia: wielkiego talerza ryżu i papryki – *poblano, ancho, chimayo, serrano*. Papryki, w setkach swoich wszystkich odmianach, należą do Nowego Świata. To z Meksyku, za pośrednictwem konkwistadorów, dotarły do Orientu. Mądrość Meksyku, która zwalcza żar słońca płomiennymi językami ziemi.

Znajomy z uniwersytetu zaprasza nas na obiad. Dorothy dzwoni do jego żony, aby uprzedzić ją o naszych ekscentrycznych zwyczajach dietetycznych. „O rety!”, mówi nasza gospodyni. „Najpierw podajemy żeberka, a potem kurczaka. Nie jadacie kurczaków? Nic innego nie będzie”.

Rzymski cesarz Witeliusz wydał na cześć Minerwy ucztę, podczas której jako *pièce de résistance* zaserwowano tysiąc pawich mózgów i tysiąc języków flamingów. Hekatomba ptaków, aby przygotować jedno danie. W Chinach za przysmak uchodzi pieczona niedźwiedzia łapa. Cztery łapy z jednego niedźwiedzia: a co z resztą zwierza?

W naszym świecie tego typu opowieści wywołują moralną dezaprobatę nawet w bardzo mięsożernych kręgach. Śmierć niedźwiedzia i flamingów niepokoi nas tak bardzo, jak bardzo nie niepokoi nas śmierć wołu. Dlaczego? Ponieważ na świecie jest o wiele więcej wołów niż niedźwiedzi, mówimy. Ponieważ jemy o wiele więcej tuszy wołowej niż tuszy flamingów (czy flamingi mają tuszę czy też po prostu ciała?). Nonszalanckie marnotrawstwo smakosza, dysproporcja pomiędzy jego pragnieniem przyjemności a rzezią, która musi się dokonać, aby je zaspokoić, stanowią afront wobec tego, co postrzegamy jako właściwe. (Cóż za ulga, że mamy przemysł pokarmu dla domowych zwierząt, który miele pozostałe mięso i zamyka je w puszkach tak, aby żadna śmierć nie poszła na marne!).

Poświęcenie niedźwiedzia budzi nasz gniew, ponieważ pozostało tak niewiele niedźwiedzi. Jeśli dalej będziemy zabijać niedźwiedzie dla ich łap, dowodzimy, wyginą jako gatunek. Woły, dla odmiany, są na każdym kroku. Można je rozmnażać bez końca, ich gatunek nie jest zagrożony. Życie gatunku ma większą wartość niż życie jednostki.

Argument gatunkowy jest dzisiaj powszechnie akceptowany. Czy na miejscu byłoby przypomnienie sobie nazistów, którzy dokonali podziału ludzkości na dwa gatunki: ten, którego śmierć miała większe znaczenie i ten, którego śmierć znaczyła mniej? Co myśli wół o tym, że zostaje przypisany – bez żadnej konsultacji – do gatunku niższego niż niedźwiedź, czy też nawet puszczyk plamisty lub żółw morski z Galapagos? Czym innym jest stwierdzenie, że człowiek przynależy do wyższego gatunku niż zwierzę, a czym innym, że pośród zwierząt występują zwierzęta „wyższe” i „niższe”. Jeśli jednak ustąpimy i przyznamy, że wszystkie zwierzęta mają równe prawo do życia, znajdziemy się w towarzystwie dżinisty,

który zamiata przed sobą drogę, aby nie nadepnąć na mrówkę. A to sytuacja bez wyjścia.

Uważając, że życie jest paskudne, brutalne i krótkie, cynik Diogenes twierdził, że rozumnie myślący mężczyźni i rozumnie myślące kobiety powinni odmawiać wydawania na świat potomstwa. Nikt nigdy nie potraktował Diogenesa poważnie, i słusznie. Bez względu na to jak żalosne bywa życie, mężczyźni i kobiety lgną do siebie, płodzą dzieci, sprowadzają je na świat. Posiadanie dzieci leży w ludzkiej naturze; tylko głupiec mógłby uznać, że ludzkość zmieni swoją naturę w imię idei.

Podobnie rzecz ma się z zabijaniem i zjadaniem towarzyszących nam istot. Bez względu na to, czy jest to dobry pomysł czy też nie, taki jest porządek świata, w tym świata zwierzęcego. Zwierzęta, które stanowią wyjątek od tej zasady (krowy, konie, jelenie), prawdopodobnie robiłyby dokładnie to samo, gdyby tylko wiedziały jak trawić mięso: z całą pewnością nie ograniczają się do jedzenia trawy w imię zasady. Nasi kuzyni szympansy, o których myśleliśmy, że są roślinożerni, wolą owoce z robakiem niż te bez niego.

Pytanie, czy powinniśmy jeść mięso, nie jest poważne. „Powinność” w tak sformułowanym pytaniu jest nietypowa: wprowadzanie „powinności” do tematu jedzenia mięsa, podobnie jak w przypadku uprawiania seksu, to jak pytanie: „czy powinniśmy być sobą?”. Interpretowane jako: „czy powinniśmy być tymi, którymi się uczyniliśmy?” mogłoby nabrać większego sensu. Ale nie uczyniliśmy siebie istotami, które mają seksualne ciągoty i odczuwają głód mięsa. Tacy się urodziliśmy; to rzecz nam dana, ludzkie uwarunkowanie. Nie byłoby nas tutaj, nie zadawalibyśmy pytań, gdyby nasi przodkowie jedli trawę: byliśmy antylopami lub końmi.

Pytanie o to, czy istoty ludzkie powinny jeść mięso, pozostaje na tym samym poziomie logiki co pytanie: „czy powinniśmy mieć słowa?”. Mamy słowa. Pytania zadajemy za pomocą słów. Bez słów nie byłoby pytań. Więc jeśli mamy w końcu zadać jakieś pytanie, będzie to musiało być zupełnie inne pytanie, takie, którego nawet nie zacząłem jeszcze formułować.

Racjonalistyczni wegetarianie lubią podkreślać głupotę karmienia bydła ziarnem. W wymiarze energetycznym potrzeba dziesięciu kalorii, żeby w procesie przemiany kukurydzy w mięso wyprodukować jedną. Ale to tylko element danych, niemający znaczenia sam w sobie. Są dwa, całkowicie wykluczające się sposoby jego interpretowania, budowania jego znaczenia. Pierwszy zakłada, że ludzie są nieświadomieni i marnotrawni. Drugi, przytaczając słowa Marvina Harrisa, autora historii ludzkości jako walki o białko, wynika z tego, że „ludzie wyróżniają pożywienie pochodzenia zwierzęcego i pragną go bardziej niż pożywienia roślinnego oraz są skłonni do tego, by poświęcać nieproporcjonalnie dużo energii i majątku na jego produkcję”.

Ale. Dopiero w momencie, w którym „ale” dochodzi do głosu, cała ta godna pożałowania dyskusja zaczyna ożywać. Pomimo hipokryzji opłakiwania martwych niedźwiedzi i flamingów, pomimo nonsensowności pytania o to, czy „powinniśmy” jeść mięso, jest coś, co nie daje spokoju i nie chce odejść. Ale jak się z tym zmierzyć?

Zacznijmy od sklepu Central Market przy alei North Lamar w Austin, w Teksasie. Sklepy, takie jak Central Market, wielkie jak dwa lub trzy boiska, są dobrze znane Amerykanom, przynajmniej tym, którzy są zamożni i należą do klasy średniej. Ich istnienie opiera się na ekonomii skali i na jednej prostej obietnicy złożonej klientom: mamy wszystko, co mógłbyś chcieć zjeść i wypić, a nawet więcej. Nie musisz iść gdzie indziej.

Owo „a nawet więcej” jest znaczące. Mitologiczny róg obfitości, łaciński *cornucopiae*, strumieniem wylewa z siebie produkty, których jest o wiele więcej, niż ktokolwiek mógłby skosztować. Central Market i podobne do niego sklepy składają mitologiczną obietnicę, że towary wystawione na sprzedaż są niewyczerpane, nie tylko jeśli chodzi o ilość, lecz także o różnorodność: różnorodność smaków, kolorów i rozmiarów, różnorodność pochodzenia, różnorodność metod uprawy. Jeśli efekt wywołuje zawrót głowy, to znaczy, że plan się powiódł.

Przechodząc przez pierwszą halę Central Market, atrium pełne owoców i jarzyn, naprawdę odnosi się wrażenie, że to mityczna Kraina Dostatku. Dlaczego więc odczucie, które towarzyszy nam w hali mięsnej (mięso, ryby, drób) jest tak bardzo odmienne? Dzieje się tak po części być może dlatego, że zmianie ulega zapach. Powietrze nie jest już przesiąknięte aromatem melonów i brzoskwiń. Czuć za to zapach krwi i śmierci, i na nic zdaje się wysiłek uśmiechających się zza lad sprzedawców próbujących usunąć go za pomocą szorowania i sterylizacji.

Piekielna atmosfera, w której przychodzi im pracować, nie jest ich jedyną niedogodnością. Bez względu na to jak bardzo są chętni, by doradzić, posiekać, pokroić w plastry, zważyć i zapakować, w kategorii widowiskowości nie mogą konkurować z owocami i warzywami. Najnowszy trend nowoczesnego marketingu jest przeciwko nim. Modernistyczna hala z jedzeniem pełna rzędów lśniących, lodowatych lad, na których piętrzą się antyseptyczne, skrupulatnie opisane i wycenione pakunki przechodzi do przeszłości. Nowa moda jest surowa, domowa i pseudo-rustykalna: owoce i warzywa wysypują się kaskadami z koszy, w które wetknięto swojskie, ręcznie opisane plakietki informujące o tym skąd pochodzą, jak smakują i jak je gotować. Innymi słowy, widowisko z pochodzeniem w roli głównej.

W staroświeckim supermarkecie lat pięćdziesiątych jedzenie było pakowane i prezentowane jako zwykły towar: pozbawiony zarazków, zapachów i pochodzący znikąd. Central Market jest natomiast rozległą parodią wiejskiego ulicznego targowiska. Brakuje tylko postaci farmera z prawdziwą ziemią za paznokciami i dobrą żoną u boku, która pomagałaby mu sprzedawać lśniące rosą, zebrane o poranku plony.

Jak hala mięsna ma iść z duchem czasu? Jak ma rywalizować z tą paradą pochodzenia? Mięsne hale Teksasu i całej reszty Stanów Zjednoczonych zmierzają w sposób nieuchronny w stronę modelu kantońskiego targowiska, gdzie można wybrać sobie gęś i patrzeć jak ucina się jej głowę; lub w stronę restauracji na Riwierze, gdzie w swoich napowietrzonych akwariach kraby czekają na zaszczyt bycia wybranym do garnka; lub nawet tych miejsc, które powstają w Hongkongu, gdzie do stołu przyrowadzany jest żywy kotawiec sawannowy, którego mózg (dobry na potencję albo na długowieczność, albo na zdrowie, sam już nie pamiętam na co) jest następnie trepanowany tak, aby można było wyjść go za pomocą łyżki. Zmierzają, innymi słowy, w stronę teatru.

A jednak jest w anglo-amerykańskim sposobie życia coś, co wzbrania się przed taką perspektywą. Przez całe wieki anglo-amerykańska kultura jedzenia zmierzała w przeciwnym kierunku, w stronę większej dyskrecji, większej delikatności w stosunku do przykrego, zakulisowego wymiaru rzeźni i kuchni. Punkt kulminacyjny uczt w *Satyrykonie* Petroniusza – podanie gigantycznej gęsi zrobionej z wieprzowiny, w której brzuchu umieszczono przepiórkę – nie wywołałby dzisiaj pełnego podziwu aplauzu. Wręcz przeciwnie, danie uznano by za wulgarne, a nawet przytłaczające. Świnia – serwowana wraz z ogonem, nóżkami, oczami i całą resztą oraz jabłkiem w pysku – została usunięta z eksponowanego miejsca na środku stołu i zastąpiona eufemistycznie lub też metaforycznie określanymi *kawałkami* (kotlety, eskalopki, polędwica), których związek z ciałami, z których pochodzą, pozostaje dla większości rodziny tajemnicą. Sztuka krojenia mięsa, która kiedyś znajdowała się w repertuarze dżentelmena, świadcząc o tym, że był myśliwym i potrafił radzić sobie z martwym zwierzęciem, stała się dziwaczną i nieco zabawną umiejętnością demonstrowaną podczas Bożego Narodzenia i Święta Dziękczynienia. Osobisty nóż obiadowy przekształcił się w nóż stołowy, tępy, zaokrąglony przyrząd do przesuwania jedzenia na talerzu. W swojej obecnej kondycji Stany Zjednoczone nie przełknęłyby metamorfozy hal mięsnych w teatr egzekucji, patroszenia, obdzierania ze skóry, ćwiartowania.

Ktoś mógłby powiedzieć: szacunek dla życia. Jednak ci sami klienci, którzy wzdrygają się na widok wyrywania skrzydeł pasikonikom czy smażenia żywych mrówek – nie wspominając nawet o świniobiciu – bez mrugnięcia powieką wzywają do domu specjalistę do zwalczania szkodników. To nie śmierć jest gorsząca, ale zabijanie, i to tylko zabijanie pewnego rodzaju, takie, któremu towarzyszy „niepotrzebny ból”. Jakimś cudem wyobraźnia zna cudzy ból, nawet ból mrówki. Tym, czego wyobraźnia nie potrafi ogarnąć, jest śmierć. Śmierć, podpowiada wyobraźnia, jest końcem bólu. Śmierć jest ulgą.

Księgę Kapłańską wypełniają, rozdział po rozdziale, listy proskrypcyjne: żadnego mięsa wielbłąda, żadnego mięsa świni, żadnych świstaków ani zajęcy, maź i skorupiaków, sępów i bocianów, żadnych nietoperzy, żółwi, jaszczurek

ani kameleonów. Wszystkie zakazy określone z tak maniakalną dokładnością dotyczą mięsa zwierząt. Żaden pokarm roślinny nie został objęty proskrypcją. Dziedzina ludzkiej wiedzy mówiąca o tym, które rośliny mogą być jedzone, a które należy omijać wydaje się oddzielona od dziedziny, która mówi o tym, które rodzaje ciał mogą być zjadane, a które są nieczyste. Podstawą wiedzy o roślinach jest doświadczenie przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie. Wiedza na temat roślin, trudna do odróżnienia od ziołarstwa (wiedzy o leczniczych właściwościach roślin), należy do wiedzy ludowej. Wiedza o mięsie należy natomiast bezpośrednio do tradycji, do sfery tabu, a tym samym do religii (dzieje się tak pomimo usilnego przekonywania nas, że, przykładowo, rabiniczny zakaz spożywania wieprzowiny był środkiem ochrony zdrowia publicznego wprowadzonym po to, by ograniczyć rozprzestrzenianie się włośnicy).

Nawet w przypadku czystego mięsa, takiego jak wołowina, ci sami ludzie, którzy zjadają umięśnione ciała bydła, przepełnieni są obrzydzeniem na myśl o zjedzeniu ich oczu, mózgow, jąder, płuc. Zwymiotowaliby, gdyby musieli wypić ich krew. Dlaczego? Pytanie do niczego nie prowadzi; niesmak wobec pewnych części ciała, w szczególności zaś wobec płynów ustrojowych w ich płynnej postaci, jest odcieniem tabu usytuowanym poza przestrzenią racjonalnego wytłumaczenia.

O ile litera prawa Kapłańskiego jest martwa w amerykańskiej kulturze, o tyle jej duch w żadnym wypadku nie. Ci sami konsumenci schyłku XX wieku, którzy – porzucając ostrożne zwyczaje żywieniowe swoich przodków – chętnie eksperymentują z małymi białymi bakłażanami, bocznikami i kwiatami dyni, nie dotkną jednak żabich udek, ślimaków, ciała królika czy koniny. Standardy zgody na przyjęcie przez ciało nieznannej materii roślinnej wydają się innego rodzaju niż standardy dotyczące przyjmowania nieznanego mięsa. W pierwszym przypadku kryterium stanowi jedynie smak: zjem, jeśli dobrze smakuje. W drugim, pokonać należy głęboko zakorzeniony opór. Opór, który jest ściśle związany z tabu oraz poczuciem grozy, której żywieniowe tabu jest wyrazem.

Jaka jest natura tej grozy? Ma coś wspólnego z zasadniczym rozróżnieniem pomiędzy roślinami i zwierzętami w naszym potocznym rozumieniu: zwierzęta żyją, a rośliny nie, żywego zwierzęcia nie możemy, albo nie powinniśmy albo nie odważymy się zjeść, podczas gdy rośliny możemy zjadać bezkarnie ponieważ nie żyją w pełnym znaczeniu tego słowa.

Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Instynktowna wyobraźnia nie jest wolna od pewnej nieufności wobec podziału na żywe lub martwe, od niechęci, by zaakceptować, że to, co martwe odtąd już na zawsze będzie pozbawione życia. Na najgłębszym poziomie ów brak zaufania wyraża się w strachu, że zabronione mięso – ciało, które nie zostało właściwie zabite i rytualnie uznane za martwe – nadal żyć będzie w brzuchu jakimś złowrogim życiem, że będzie, jak to ujmuje Księga Kapłańska, wewnętrzną obrzydliwością. Stąd w tak wielu religiach bliskie

kontakty pomiędzy kapłanami i rzeźnikami oraz wymóg kapłańskiej obecności w rzeźni. Stąd też, być może, zwyczaj odmawiania modlitwy przed jedzeniem: wysiłek włożony w to, by udobruchać rozgniewanego ducha poświęconego zwierzęcia. (Gandhi nie mógł zasnąć po tym, jak po raz pierwszy zjadł mięso: przez cały czas słyszał beczenie zjedzonej kozy, która domagała się, by ją wypuścić).

Oczywiście to tylko przesąd, że mięso i rośliny to dwie różne rzeczy. Rośliny są pożywieniem, mięso jest pożywieniem – wyjątkowo dobrym pożywieniem, bogatym w białko, witaminy z grupy B i aminokwasy. Wołowina jest zdrowa, drób jest zdrowy. Bardzo zdrowe są ryby. Wieprzowina jest zdrowa, nawet dla Żydów i Muzułmanów. Żaby są zdrowe, a przynajmniej ich udka. Zdrowe są krewetki, pod warunkiem że usunie się ich przewody pokarmowe. Nawet karaluchy są zdrowe, jeśli tylko wyrwie się im łuskowate skrzydła.

Ludzie, których zabobonne poczucie grozy wywołane myślą o zjedzeniu karalucha rozciąga się na krewetki (które są przecież tak do nich podobne!), potem na żaby i ryby, a w końcu na drób i wołowinę, nie wiedzą, gdzie wyznaczyć granicę. Pytanie brzmi, do kogo powinni się zwrócić, aby się tego dowiedzieć.

Teoria Marvina Harrisa, że historia ludzkości to walka o przechwycenie i kontrolowanie źródeł białka, jest kontrowersyjna: białko to nie wszystko, mówią inni naukowcy.

Być może białko to nie wszystko. Ale jeśli zapytać o głęboko zdroworozsądkowe, materialistyczne wytłumaczenie dla pokoju, który w mniejszym lub większym stopniu panuje w zachodnich demokracjach, może się okazać, że najlepszą odpowiedzią będzie stwierdzenie, że są to społeczeństwa, które zapewniają wystarczającą ilość zwierzęcego białka, by zaspokoić pragnienia zdecydowanej większości swoich obywateli. (Bardziej niż wystarczającą: liczba osób zmagających się z otyłością w Stanach Zjednoczonych wydaje się wskazywać na to, że ludzie napychają się białkiem – i tłuszczem – po prostu dlatego, że jest tanie i jest go w bród). Europejczycy migrowali do obu Ameryk, Australazji i do bardziej przyjaznych obszarów Afryki, ponieważ pragnęli lepszego życia. Lepsze życie oznaczało, niemal natychmiast, mięso na talerzu siedem dni w tygodniu. Swych rodzinnych stron nie opuszczali ci dobrze odżywieni; opuszczali je głodni, szczególnie ci głodni mięsa.

Jedną z najbardziej zawziętych, nieustających i jednocześnie najmniej widocznych walk w historii Europy, walki, która trwała od średniowiecza aż po początek XX wieku, była walka o prawo do polowania, o dostęp do zwierzyny łownej. Gdy wojenni grabieżcy brali w posiadanie wielkie połacie ziemi i stawali się właścicielami ziemskimi, ich własnością stawały się również zwierzęta i rośliny, a oni sami za przestępców uznawali tych członków wspólnoty, którzy ciągle traktowali naturę (która nie zna przecież granic) jako wspólne dobro. Robin Hood może i był

prototypem buntownika polującego w imieniu biedoty na bogaczy, ale na bardziej przyziemnym poziomie był kłusownikiem, który podważał prawo własności Korony do leśnej zwierzyny. Europejskie legendy pełne są opowieści o bohaterskich kłusownikach, tak jak pełne drakońskich wyroków za kłusownictwo są rejestry europejskich sądów. Tym, co owe rejestry upamiętniają, jest prowadzona z pokolenia na pokolenia klasowa wojna o dostęp do mięsa.

Ostatnim kontynentem, na którym kłusownictwo trwa nadal, i to na wielką skalę, jest Afryka. Ale nie poluje się już na „królewską” zwierzynę. Dziś członkowie plemion polują na zwierzynę w rezerwach i miejscach schronienia dzikich zwierząt, w których ci, którzy sami mają wystarczająco dużo mięsa, gromadzą – z powodów niezrozumiałych dla głodnych białka – jadalne zwierzęta sawanny.

Europejczycy migrowali do kolonii z wielu powodów. Jednym z najbardziej wyraźnych była obietnica, że będą mieli dostęp do mięsa, kiedy tylko będą mieli na nie ochotę. Uwadze władz kolonialnych nie umknął fakt, że zmieniając się z wieśniaków żywiących się mlekiem i ziarnem w myśliwych jedzących głównie mięso, ci nowi mieszkańcy kolonii przeszli szlak odwrotnej ewolucji: myślistwo, jakby nie było, należało do wcześniejszego etapu ludzkiego rozwoju niż rolnictwo. Temu raczej abstrakcyjnemu zaniepokojeniu władz kulturową regresją towarzyszył bardziej konkretny niepokój o kontrolę: o wiele trudniej było śledzić, i tym samym opodatkowywać, swobodnie przemieszczających się myśliwych niż osiadłych rolników.

Zwyczaje dietetyczne utrwaliły się w początkach epoki kolonialnej i od tego czasu nie łatwo się ich pozbyć. Egalitaryzm pojawił się przed demokracją i oznaczał koniec rozwarstwienia społeczeństwa na tych, którzy zagarniali zapasy mięsa i tych, którzy musieli zapychać żołądki ziarnami zbóż. Ameryka symbolizuje triumf zwykłych ludzi w ich historycznym marszu po zwierzęce białko, a Teksas jest pod tym względem stolicą Ameryki. Teksaska rodzina siadająca do posiłku składającego się z kurczaka i smażonego steku z frytkami dokonuje atawistycznego zadośćuczynienia swoim europejskim przodkom, którym musiało wystarczyć mleko i chleb lub polenta. Dzień po dniu, posiłek po posiłku, ich dieta wysławia Nowy Świat. Życie tutaj jest dobre i żadne debaty tego nie zmieniają. „Najpierw żeberka, a potem kurczak. Nic innego nie będzie”.

*Przełożyli
Marzena Kubisz i Marcin Mazurek*

